№ 32. 7 Sierpnia 1893

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

DROGA GOLGOTY.

W Jeruzalemskie bramy
Gdy wjeżdżał syn Jehowy,
Zawołał lud: „Witamy!
I rzucał liść palmowy.

* * *

Naokół ciasne mury
Rozpierał hymn radosny:
„To on, co w zmrok ponury
Sprowadza promień wiosny!

* * *

Lecz w mistrzu hołd ten wielki
Na ducha jasnej zorzy
Wnet cieniem się położy:

* * *

W źrenicach łez kropelki
Zgasiły żar ich złoty —
Mistrz przeczuł, że ten tryumf to droga...
[Golgoty.

Jan Kasprowicz.

Dzisiejsza wieś nasza*).

— Kto pamięta wieś przed ćwierć wiekiem, komu nieobcy był jej nastrój, bieg ekonomicznych interesów, sposób życia, zwyczaj i obyczaj, — tego uderzy olbrzymia zmiana, zaszła przez ciąg ubiegłego czasu w organizmie naszego sioła. Wszystkie dziedziny życia, z wyjątkiem umysłowej, uległy gruntownemu przekształceniu.

Najgłówniej i w pierwszej linji działał tu potężny czynnik świeżo nabytego prawa własności. Bo naturalnie, nie ród, ani tradycja, ale ilość posiadanej ziemi i ztąd płynąca zamożność, wyłącznie nadają podstawę stanowisku w społeczeństwie sielskiem. Ztąd też główna myśl jego, oś, około której całkowite życie wsi się obraca, jest nabycie jak największej ilości ziemi. Śmiało twierdzimy, że niema dziś ani jednej osady w Królestwie, gdzieby głównego przedmiotu zajęcia, rozmyślań, rozmów i narad, nie stanowiły projekty nabycia lub dokupna ziemi...

Do nabycia ziemi, mianowicie, gdy między ludem upowszechniła się świadomość co do działalności banku włościańskiego, wytwarza się coraz więcej stowarzyszeń i niema dziś wsi, gdzieby takie czasowe spółki nie powstawały. Idzie to jeszcze kulawo, sporom a brakowi decyzji i zgody niema czasami końca, wloką się narady całemi miesiącami, ale tu i owdzie, mianowicie wśród zamożniejszych włościan spółka przychodzi do skutku i nabywa do parcelacji przygotowany folwark. Przykłady takiego nabycia działają nadzwyczaj zaraźliwie na okoliczną ludność i szalenie pobudzają apetyt na ziemię...

Obudzona w tym kierunku namiętność jest nawet częstokroć powodem wyzysku przez niesumiennych a interesowanych lichwiarzy wiejskich, zarówno chrześcijan, jak i żydów. Stwarza to mnóstwo kolizji a nawet dramatów sielskich, cały zaś ruch zasługuje na baczną uwagę zarówno socjologa-ekonomisty, jak i psychologa, jako dominujący w myślach i aspiracjach naszego ludu. Ruch emigracyjny, jaki parę lat temu nurtował społeczność włościańską kraju naszego, był jednym z objawów tego nastroju, kierującego się ku posiadaniu ziemi.

W życiu gromady wiejskiej wytworzył się ogromny ruch ekonomiczny w kierunku spekulacyjnym. Jednostajna masa włościańska zróżniczkowała się już znacznie i powytwarzały się specjalne zajęcia i przemysły. Przemysły te nie mają jeszcze określonych wprawdzie granic, włościanin trudni się dziś tem, jutro innem zajęciem, lub spekulacją, ale to jest fakt, że szuka i znajduje mnóstwo ubocznych a mówmy nawet prawdę, bogacących go przedsiębiorstw. Zima, skutkiem zupełnego zaniedbania rzemiosł domowych, przechodzi bezczynnie i na wyrzekaniu — ale z pierwszym podmuchem wiosny ludność męska wiosek rozbiega się, jak rój pszczół, wypuszczony na łąkę. Miasta i miasteczka stanowią główną siłę atrakcyjną i tam ciesielka, mularka, roboty brukarskie, zajęcia ogrodnicze, wyrobnicze, zwykle wysoko płatne, zatrzymują tę ludność do zimy.

Od dwudziestu pięciu lat wytworzył się stały prąd między wsią i miastem i oddziaływa on w sposób wyraźny na ekonomiczny i społeczny ustrój

*) Artykuł niniejszy powtarzamy za warszawskim Przeglądem Tygodniowym.

wsi. Dawniej miasteczko było dla włościanina tylko targiem zbytu i miejscem jarmarcznej pohulanki, obecnie jest dla niego etapem w zarobkowaniu, szkołę obyczajów a — powiedzmy prawdę — i zepsucia. Z różnych stron n. p. kraju żalą się, iż włościanin nasz zrzuca strarodawny strój, który go terytorjalnie wyróżniał i do cech etnograficznych należał a częstokroć ozdobnie ubierał. Jest to konieczny wpływ kosmopolitycznych miast i miasteczek, gdzie zwykle włościanin podczas dłuższego pobytu przywyka do pospolitej w mieście formy ubioru, uważając ją z jednej strony za coś lepszego, za coś, co kryje chłopskie pochodzenie a przytem jest dogodniejsze w użyciu. Nasi moraliści, piorunujący na porzucanie przez lud zwyczajów ojców, nie mogą sobie wytłumaczyć nader prostego faktu, który wpływem miast naturalnie się wyjaśnia. Panowie ci bowiem nie wiedzą, iż niema dziś niemal rodziny chłopskiej, którąby nie posiadała jednego albo paru swych członków w mieście, służących za stangretów, furmanów, stróżów, robotników dziennych, jacy, przejmując zwyczaje miejskie, nadają ton członkom rodziny, pozostałym w chacie. Same zresztą wsie wzorują się na miastach i dziś już starają się o wystarczanie samym sobie. Nierzadko teraz po wsiach spotyka się rzemieślników, jak: szewców, kołodziejów, mularzy, zdunów a nawet cieślów, nie mówiąc już o kowalach. Są to wiejscy „mądrale“, ludzie zwykle dość mający się dobrze i wodzący rej między współwłościanami. Cieśli radzi się chłop we wszystkiem, co się tyczy budynków, studzien, a nawet umie „majster“ wykonać takie „zastawki“, jakich żaden nie otworzy złodziej, czem na wdzięczność swych współsielan zasługuje sobie. Dlaczego cała ta gromada „nowych ludzi“, tworząca już charakterystyczne typy w sielskiem społeczeństwie, nie zwróciła dotąd uwagi naszych powieściopisarzy (którzy ciągle kręcą się jeszcze koło postaci pisarza, pokątnego doradcy i żyda) — musimy objaśnić tem, iż panowie ci mało znają wieś współczesną. Inaczej wiedzieliby, iż obecnie bardzo często pojawia się tu typ handlarza wcale nie żyda, ale daleko odeń przebieglejszego i niebezpieczniejszego chłopa. O wiejskich lichwiarzach-chłopach coś już w beletrystyce słyszano. Handel wywozowy — to jest skupowanie po wsiach jaj, masła, serów, kur, gęsi, i t. d. w wielu miejscowościach stanowi proceder chłopów, którzy zawsze tą drogą do sporych dochodzą majątków. Usiłowania, mające na celu zakładanie sklepików po wsiach jeszcze się nie udają, z powodu małej rachunkowości chłopa a wielkiej na zysk chciwości, co przy detalicznym handlu żadną nie da się pogodzić miarą.

Wspomnieliśmy o zepsuciu, które drogą naśladownictwa przenika z miast do wsi. Rzuca się ono w oczy każdemu obserwatorowi wsi dzisiejszej. Z przykrością zaznaczyć trzeba upadek moralności, o czem świadczy zwiększająca się liczba nieprawych urodzin i w prostym stosunku zostająca do nich liczba dzieciobójstw. Jeżeli pijaństwo znacznie się zmniejszyło, to za to rozprzestrzeniła się czysto miejska choroba — hazardowna gra w karty. Aż przykro jechać przez nasze wioski i patrzeć, jak popołudniu latem na miedzach i wygonach a wieczorami zimą po chatach leżą i siedzą gromadki włościan, ćwicząc się w wybrudzone karcięta. Chciwość idzie w parze z ryzykiem, a kłótnia kończy najczęściej takie zebrania. Każdy nam przyzna, że to jest rys nowy — tego dawniej niebywało.

Spiski irlandzkie w Ameryce.

Od siedmiu wieków toczy się zawzięta walka pomiędzy Anglikami i Celtami na zielonym Erynie. Po stronie najezdców: potęga materjalna, oświata, bogactwo; jedyną siłą ujarzmionych: gorąca miłość ojczyzny i nieprzełamana wola zachowania swej odrębności. I kto z tej walki wyjdzie zwycięzcą?

Anglicy wydarli Irlandczykom wszystko, co tylko wydrzeć można było: prawa polityczne, narodowe, ludzkie; naukę i literaturę macierzystą; ziemie plon przynoszące, przemysł i handel. Zamienili naród irlandzki w naród nędzarzy.

Zepchnięto ich na górzyste północno — wschodnie wybrzeża Oceanu, ziejącego pianą burzliwą. Tam na skrawku lichej i jałowej ziemi, wśród gór skalistych, borowiną pokrytych trzęsawisk i wydm piaszczystych, pozwolono umierać Celtom.

I niknął szybko ten naród w Irlandji. Na początku przeszłego stulecia liczył on jeszcze 12 miljonów, a na początku bieżącego już tylko dziewięć. Dzisiaj liczą Irlandczyków w Irlandji wszystkiego 4 miljony.

A więc Anglicy zwyciężą?

Przewidywania najezdców zawiedzione zostały. I kiedy — zdawało się — zbliżyła się już ostatnia godzina, i otwarta mogiła ma pochłonąć resztki wielkiego niegdyś narodu, stał się jakby cud jaki i jeden z najszlachetniejszych, najświatlejszych i najdzielniejszych synów Anglji, wielki starzec (great old man), zwraca sie z zaklęciem ku swemu narodowi, ażeby ten wrócił Irlandję Irlanczykom.

I cóż go powoduje, że uznanie samorządu Irlandji postawił w swoim programie politycznym ponad wszystkiemi innemi zadaniami, i że tej sprawie wszystkie swe siły krótkiego już żywota postanowił poświęcić?

Gladstone jest dumny, że należy do wielkiego narodu angielskiego, i niezawodnie wyżej stawia jego interesy od obcej mu sprawy zwadliwych, awanturniczych i zawsze gotowych do bójki patrjotów irlandzkich, popieranych jedynie przez bosonogich włościan, obdartych rybaków i prześmiardłych wódką robotników.

Ale właśnie światła i daleko patrząca miłość

ku Anglji skłoniła wielkiego starca, że wbrew uprzedzeniom i niechęciom narodowym podał rękę patrjotom irlandzkim i stał się ich wiernym sprzymierzeńcem.

Naród bowiem irlandzki, w ojczystym swym kraju ginący w nędzy, w Ameryce i w samej Anglji wzrósł w potęgę, która stała się groźną dla przyszłości państwa angielskiego.

Wiele światła w tej sprawie rzucają niedawno ogłoszone pamiętniki majora Henryka Le Caron'a (Major Henri Le Caron. Twenty five years in the secret service. Recollections of a Spy. Londres, 1892*).

Kto to jest ten Henryk Le Caron?

Jestto Anglik, którego rzeczywiste nazwisko Tomasz Beach. Awanturniczego usposobienia, wędrował on z miasta do miasta, przez cztery lata przebywał w Paryżu, gdzie się nauczył po francusku, i kiedy w 1861 r. rozpoczęła się wojna domowa w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, zaciągnął się jako Francuz Le Caron do armji północnej i tam się dosłużył stopnia majora. W armji wszedł w stosunki z jenerałem O' Neill'em i od niego dowiedział się o przygotowującej się wyprawie irlandzkiej do Kanady. Jako patrjota angielski — tak przynajmniej sam o sobie mówi — z oburzeniem pisał o tem do swego ojca. Listy te, zawierające wiele ważnych szczegółów, zostały zakomunikowane rządowi angielskiemu, który skutkiem tego wydał stosowne rozporządzenie celem odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa. Kiedy w następnym roku Le Caron przybył do Londynu, rząd angielski zaproponował mu, ażeby ten korzystając z zaufania patrjotów irlandzkich śledził ich plany i dokładne przysyłał mu sprawozdania. Le Caron przyjął to zobowiązanie i został rządowym szpiegiem, a czynność swoją spełniał bardzo zręcznie. Prawdopodobnie w Pamiętnikach swoich przecenia on swoje zasługi, okazane rządowi angielskiemu, ale jest to rzecz pewna, przez samych Irlandczyków potwierdzona, że wiedział on wiele, bardzo wiele, więcej niż mu się należało wiedzieć. Wypadek ten z Le Caron'em z dwóch względów ma ważne znaczenie. Z jednej strony poucza on, że w pracach spiskowych nigdy nie jest za dużo ostrożności, a z drugiej strony, że niesłusznie szukano zdrajcy pomiędzy Irlandczykami. Naród ten ma wiele wad, ale ma też wielką zaletę: ogromne poczucie solidarności narodowej. Pamiętniki Le Caron'a chlubne składają mu w tym względzie świadectwo.

Irlandzka ludność tłumnie uciekała z kraju ojczystego w 1846 r., pędzona strasznym biczem głodu. Daremnie rząd angielski starał się bezpłatnem przewożeniem, rozdawaniem gruntów i pożyczką pieniężną skierować ją ku swoim kolonijom; nie ufając swemu odwiecznemu wrogowi, dążyła ona ku ziemi wolnej, ale w głębi serca zawsze żywiła nadzieję, że kiedyś wróci na swoją wyspę ukochaną.

W 1848 r. nowe spadły klęski na Irlandją, i nowa emigracja, teraz polityczna, szukała przytułku w Stanach Zjednoczonych. Byli te członkowie Młodej Irlandji, która przygotowała była zbrojne powstanie, i którą ścigała zawzięta zemsta Anglików.

Nowa ta emigracja stała się przewodniczką polityczną ludności irlandzkiej w Ameryce. Pałając chęcią czynów, znalazła u głodem wypędzonych wychodźców współczucie i pomoc. „Byli to — powiada Le Caron o tych wychodźcach — ubodzy i prości ludzie ożywieni najczystszym patrjotyzmem, ale dającym się mocno uwodzić, zawsze oni byli gotowi oddać ostatni swój grosz w nadziei, że ujrzą kiedyś na ziemi irlandzkiej płynące mlekiem i miodem strumienie. Pracując ciężko na kawałek chleba, nie wymawiali się od płacenia podatku na sprawę narodową. Liczne organizacje podtrzymywały pomiędzy niemi łączność" i poznawanie się wzajemnie. Jakób Stychens, jeden z czynnych spiskowców w 1848 r. postarał się o zawiązanie stosunków pomiędzy Irlandją i organizacjami irlandzkiemi w Ameryce. A kiedy w Indjach Wschodnich wybuchło powstanie przeciwko Anglikom, Stychens w 1858 r. zorganizował w Irlandji Towarzystwo Feniksa, które miało w danej chwili poprzeć zbrojną walkę o niepodległość narodową. Rząd angielski nie pozwolił temu związkowi długo istnieć.

Wkrótce zaszły bardzo ważne wypadki w samej Ameryce, które dopomogły Irlandczykom do zdobycia wpływowego stanowiska. Kiedy w 1861 r. rozpoczęła się wojna domowa, spowodowana sprawą niewolników, pomiędzy północnemi i południowemi stanami, pozaciągali się oni bardzo licznie do armji federalnej i wiele się przyczynili do zwycięstwa. Okazali się dzielnymi żołnierzami dobrymi dowódcami. Miało to podwójne następstwo: pozostając w bliskich stosunkach z władzami amerykańskiemi, patrjoci irlandzcy zyskali u nich życzliwe poparcie swoich planów, oraz wprawiwszy się dobrze do rzemiosła wojennego i mając znaczną liczbę bitnych żołnierzy, postanowili rozpocząć walkę zbrojną z rządem angielskim.

Pierwszą ich myślą było zorganizować wyprawę wojenną do Irlandji. Należało jednak przedtem przygotować koniecznie ludność do zbrojnego powstania. W tym celu zawiązano Irlandskie braterstwo republikańskie, członków którego zaczęto nazywać Fenijanami od Fenów, rycerskich towarzyszy nawpół mitycznego Fiona, a wreszcie i cały związek przybrał nazwę Braterstwa Fenijańskiego (Fenian Brotherhood) dzieliło się ono na obozy, pozostające pod dowództwem komendantów. Naczelnym wodzem był prezydent braterstwa, pułkownik Roberts. Obozy wybierały delegatów, którzy corocznie zjeżdzali się w pewnem umówionem mieście na naradę. W 1888 r. w Filadelfji było takich delegatów, mających na-

*) Major Henryk Le Caron. Dwadzieścia pięć lat w służbie sekretnej. Wspomnienia szpiega. Londyn 1892.

eżycie spisane pełnomocnictwa, przeszło 400. W czasie, trwającym od jednego do drugiego zgromadzenia zarządzał sprawami związku senat.

Stephens, redaktor dziennika Irisch People, zajął się szerzeniem związku fenijańskiego w Irlandji. Spisek już przybrał ogromne rozmiary, i termin wybuchu powstania się zbliżył, kiedy rząd angielski, dowiedziawszy się o wszystkiem, 15 września 1865 r. uwięził głównych spiskowców i w ten sposób pokrzyżował wykonanie przygotowanych planów.

Cios był silny, lecz patrjoci irlandzcy nie opuścili rąk bezczynnie. Na zgromadzeniu w Cincinnati, które odbyło się w tymże jeszcze roku postanowiono zorganizować wyprawę do Kanady. Roberts miał objąć naczelne dowództwo. Brakło pieniędzy, ale poradzono temu w łatwy sposób: wypuszczono bilety po 20 fr. w imieniu Rzeczypospolitej irlandzkiej. Ludność irlandzka z gotowością wymieniała te bilety na dolary; a w tej liczbie — powiada Le Caron — było mnóstwo Irlandek, które jako służące mieszkały w różnych miastach Stanów Zjednoczonych.“ Zaiste, naród, mający takie dla narodowej swej sprawy ofiarne kobiety, zginąć nie może!

Jak wspomniałem wyżej, rząd angielski z listów Le Carona wiedział o przygotowanej do Kanady wyprawie, i kiedy 1-go czerwca 1866 r. oddział irlandzki, mając od 700 do 800 ludzi, przebywszy rzekę Niagarę, zatknął swój sztandar na forcie Erie, wnet pojawił się bataljon ochotników z Toronto i zmusił Irlanczyków do odwrotu. Le Caron powiada, że usługa oddana przezeń rządowi angielskiemu nie była małej wagi, albowiem na wiadomość o wzięciu fortu Erie, 7-go czerwca zgromadziło się w okolicach Buffalo 30.000 Irlanczyków. Prezydent Stanów Zjednoczonych, Johnson, wiedział o wyprawie i wszystko robił, co mogło ją ułatwić. Miał on tak się tłumaczyć przed O'Neillem, kiedy ten następnie w towarzystwie Le Carona starał się wyjednać, by nie czyniono żadnych przeszkod do zorganizowania nowej wyprawy:

— Jenerale! — mówił Johnson — radcy twoi nie mają słuszności, potępiając zachowanie się moje w waszej sprawie. Widzicie, że życzyłem Wam powodzenia z całego serca i byłem gotów pomagać, ile to było w mej władzy. Przypomnijcie sobie, że parę dni zwlekałem, zanim wydałem przeciwko wam odezwę. Dłużej czekać nie mogłem, gdyż inaczej powstałyby ze wszystkich stron krzyki na mnie.

W końcu 1867 r. prezydent Bractwa Fenijańskiego, pułkownik Roberts, podał się do dymisji, a na jego miejsce został powołany jenerał Jan O'Neill, wysoki, piękny, marsowatej postawy mężczyzna, z donośnym i dzwięcznym głosem. Na konwencji następnego roku w Filadelfji uchwalono nową wyprawę do Kanady. Przez dwa lata robiono przygotowania. Zamierzono owładnąć częścią wybrzeża morskiego w Kanadzie, ażeby tam można było uzbrajać statki korsarskie przeciwko okrętom angielskim. Spodziewano się, że Stany Zjednoczone przyznają im prawa strony wojującej, a wówczas wielu Amerykanów miało się zaciągnąć do ich służby. W kwietniu 1870 r. zmobilizowano obozy irlandzkie. Oddziały miały 25, kwietnia wyruszyć z Buffalo, Malone i Franklinu, gdzie O'Neill sam osobiście dowodził. Le Caron, który był adjutantem O'Neilla, doniósł szezegółowo o tem wszystkiem rządowi kanadyjskiemu, i ten się przygotował do odparcia wkraczających irlandzkich oddziałów. Przytem w rządzie amerykańskim zaszła zmiana. Nowy prezydent, Grant, nie miał już tej życzliwości dla Irlandczyków co Johnson, i ze swojej strony pospieszył uprzedzić wykonanie zamysłów irlandzkich. O'Neilla aresztowano i na 6 miesięcy więzienia skazano.

D. n.

RACHUNKI DOMOWE.

Przez

FITZ-GERALDA.

Dokończenie.

Nelly zaraz nazajutrz zrana zabrała z banku swe oszczędności, ale co się tyczy męża, dopiero na trzeci dzień potem, otrzymując miesięczne wynagrodzenie w kantorze, przypomniał sobie o zawartej umowie. Jako człowiek honorowy, nieomieszkał — przypomniawszy kaprys żony — dotrzymać danego słowa: w powrocie pod wieczór do domu, złożył wszystkie otrzymane pieniądze w banku. Po uskutecznieniu tego został i to bezwiednie w posiadaniu jedynej małej niklowej monety, spoczywającej w kieszonce od kamizelki, gdzie zazwyczaj chowały się drobne »na tramwaj«. A że niebawem cała ta dziecinna historja ulotniła się z pamięci oddanego wciąż doniośléjszej wagi zagadnieniom męża, przeto i moneta niklowa przeszła następnego rana do rąk konduktora tramwaju, a pan Delamiter nie zauważył nawet, że nie ma już ani złamanego szeląga w kieszeni.

Do południa wszystko szło dobrze. Ale około pierwszej do kantoru wstąpił przypadkiem pewien młodzieniec, oddawna niewidziany przyjaciel Delamitera z czasów szkolnych. Ku należytemu uczczeniu równie miłego, jak niespodziewanego spotkania wypadło koleżkę zaprosić na obiad do poblizkiej wykwintnej restauracji. Tu dopiero po uczcie, okraszonej obficie przyjacielską pogawędką, nieszczęsny Delamiter wyjął z kieszeni i otworzył sakiewkę.... próżną. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakiego doznać musiał w ciekawym tym momencie.

Pod wieczór wrócił do domu nieco kwaśny i niezwłocznie po wieczerzy pogrążył się w czytanie dzienników, od których zdołał się oderwać

przed samem dopiero udaniem się na spoczynek. Następnego rana po śniadaniu zatrzymał się dobrą chwilę bez żadnej widocznej przyczyny przy stole, przy którym siedziała żona, potem postąpił z wahaniem kilka kroków ku drzwiom i znowu wrócił na poprzednie miejsce.

— Ach, prawda, byłbym zupełnie zapomniał... — przemówił niedbale. Oto wypadło mi wczoraj zaciągnąć dłużek mały.

— Ile? — spytała, lekko rumieniąc się żona.

— Drobiazg, coś z pięć dolarów.

»A na coś je wydał?« — miała ochotę zapytać Nelly, lecz się wstrzymała i w milczeniu doręczyła mężowi kwotę żądaną.

— Hm..., ależ widzisz.... daj mi już zarazem coś na tramwaj...

Wyszukała w sakiewce dziesięciocentową monetę i położyła mu na wyciągniętej dłoni.

Dnia tego pan mąż nie zapomniał już ani na chwilę o swej prawdziwie krytycznej sytuacji. Dała mu się ona uczuć, gdy przyszło do uiszczenia się z długu przyjacielowi, należącemu — powiedzmy nawiasem — do nader bogatej i arystokratycznej rodziny. Przypomniała się w sposób przykry na widok dziwnie ponętnie na wystawie owocarni wyglądających pomarańcz i bardziej jeszcze na widok ubogiego, kulawego chłopca, który pod pozorem sprzedawania karmelków zbierał jałmużnę w kantorze. Najdotkliwszym wszakże stał się ten brak pieniędzy wobec osoby, zbierającej składkę na cel dobroczynny i zaopatrzonej w listę podpisów, między któremi figurował podpis Delamitera, który się właśnie zobowiązał był w dniu tym złożyć swój datek. Dotkliwą również była niemożność zaopatrzenia się w świeży numer ulubionego wieczornego dziennika, bez którego nigdy dawniej nie wracał do domu.

Dnia też następnego pan Tomasz zaciął zęby i ze źle ukrywanem rozdrażnieniem poprosił żonę o pieniądze na letni garnitur. Pierwotnie miał on zamiar sprawić sobie jednocześnie letnie buciki i krawat, wszakże w ostatniej chwili postanowił odłożyć załatwienie tych sprawunków na przyszły miesiąc. Garnitur kupił też tańszy, niż to sobie na razie był zamierzył, ażeby za zaoszczędzone, dzięki tej szczęśliwej operacji finansowej pieniądze, mógł opędzić jako tako wydatki bieżące.

Czwartego dnia próby przypadła niedziela. Delamiter zazwyczaj uczęszczał dość pilnie do kościoła, tym razem jednak wolał zostać w domu, przyszło mu bowiem na myśl, że dziadek kościelny obchodzić będzie po kweście... Przed żoną wytłómaczył się bólem głowy.

Piątego dnia w kantorze stawił się rzeźnik z rachunkiem do opłacenia. „Zapomniałem pieniądze w ubraniu“ — mruknął gniewnie Delamiter i odesłał kupca po zapłatę do żony, jakkolwiek dawniej utrzymywał, że to „nie wypada“ i że lepiej jest, żeby wszyscy dostawcy przychodzili z rachunkami nie do niej, lecz do kantoru.

Szóstego dnia Nelly wykazała nieprzewidzianą hojność, bo gdy mąż poprosił ją, jak zwykle, o »drobne na tramwaj«, wręczyła mu całe 50 centów. Dzięki tej szczodrobliwości, Delamiter wracając z kantoru, przywołał z fantazją przekupnia, kupił u niego dwa koszyczki poziomek i dopiero gdy przyszło do obrachunku, spostrzegł, że nie starczy mu sześciu centów.

Siódmego dnia pan Tomasz doszedł wreszcie do wniosku, że próba zaczyna przybierać najmniej pożądany obrót i wobec smutnego tego przeświadczenia postanowił zrobić ostateczny wysiłek. Nastroił gęstą minę i z wymuszoną swobodą w głosie zwrócił się do żony:

— Słuchaj-no Nelly, daj ty mi dziesięć dolarów!

— I na cóż to? — spytała go z widocznem zmieszaniem.

— Hm... Buty już mi się bardzo zniszczyły...

— A! to buty teraz tak podrożały — zauważyła Nelly, wydobywając kieskę z uśmiechem zakłopotania...

— Hm... Jak ci mam powiedzieć... Buty będą kosztowały ze cztery dolary, lecz pozostałe sześć przydadzą mi się na to i na owo...

Nelly zaczerwieniła się jak piwonja i po chwilowem wahaniu wydobyła zwolna, zagryzając usta, dwa dwudolarowe papierki i srebrną monetę, wynoszącą pół dolara.

— Tyle chyba na ten raz wystarczy? — wyjąkała, oddając mężowi pieniądze i nie podnosząc nań oczu.

Delamiter patrzył na nią z najwyższem zdumieniem. Miał taką minę, jak gdyby zamierzał cisnąć pieniądze na stół... W ostatniej atoli chwili coś sobie przypomniał i cała twarz jego, od gęstej czupryny poczynając, aż po brzeg sztywnego, śnieżnej białości kołnierzyka, spłonęła rumieńcem krwawym. Z wściekłością wsadził pieniądze do kieszeni, wydał kilka niezrozumiałych, gniewnych wykrzykników i wybiegł z domu, zatrzaskując gwałtownie drzwi za sobą.

Nelly po jego wyjściu rzuciła się na sofę, przytuliła głowę do poduszek i wybuchnęła rzewnym płaczem. Ogarnęła ją nieopisana trwoga. Zdawało się biedaczce, że śmiertelnie obrażony Tom nie będzie mógł jej przebaczyć i chyba nigdy już do niej nie wróci... I w tym stanie męczącej niepewności upłynął jej dzień cały.

Tom wrócił wszakże, a wrócił o zwykłej porze. Był, co prawda, milczący i cały czas trwania wieczerzy nie podnosił oczu od talerza i filiżanki, po za tem wszakże nie objawiał żadnych oznak złego humoru. Po wieczerzy usiadł spokojniutko na zwykłem miejscu przy oknie i pogrążył się w dumania. Tak go zastała Nelly, gdy wróciła do pokoju po ukończeniu codziennych zajęć gospodarskich. Gdy mąż siedział tak z łokciami opartemi na kolanach, ona cichutko za-

kradła się z tyłu, wetknęła mu sakiewkę do ręki i chciała co tchu uciekać, lecz on pochwycił ją za suknię i pociągnął ku sobie.

— Nelly — jął z komiczną powagą — ile jest w tej sakiewce pieniędzy? Czy sądzisz, że wystarczy ich na opłacenie jakiego tęgiego draba, którýby mię obił, jak na to zasługuję?

— O, Tomie! — zawołała Nelly z wybuchem płaczu — przebacz mi, najdroższy! O, jakże teraz siebie nienawidzę. Takam jędza...

— No, cichoż już, moje dziecię! — uspakajał ją mąż. Potem zaś dodał, uśmiechając się żartobliwie: Cóż, bardzoś była kontenta, że ci się udało tak mię podejść?

— Co ty mówisz i jak możesz mówić coś podobnego, Tomie! Ani trochę nie byłam kontenta! — oburzyła się Nelly.

— No, wiesz co, Nelciu — ozwał się wtedy mąż poważnie — musimy obecnie ułożyć sobie program postępowania na przyszłość. Czy masz ty pojęcie o tem, ile kosztuje nas utrzymanie domu... mniej więcej, rozumiesz?

— O, tak, codzień zapisuję wszystkie wydatki, zarówno gospodarskie, jak i moje osobiste — odpowiedziała Nelly, przynosząc księgę rachunkową. Tego tylko nie wiem, ile ty w ogólności zarabiasz i co wydajesz na siebie...

Delamiter, z wyrazem przyjemnego zdziwienia na twarzy, przezierał księgę, której karty zapisane były drobnem kobiecem pismem i szeregami cyfr. Nad ostatnią kartką, na której zestawione były ogólne wyniki wszystkich specjalnych działów rozchodu, zatrzymał się dłużej z widocznem zdumieniem. Obliczył coś szybko w pamięci i z cicha, przeciągle gwizdnął.

— Wiesz co, Nelly — wyrzekł wreszcie uroczyście — jesteś stanowczo prawdziwym genjuszem ładu i oszczędności. A ja... No, gdybyś się nie zagniewała za zbyt dosadne wyrażenie, nazwałbym siebie... No, nie mówmy o tem...

Na wniosek Delamitera, za wspólną zgodą obojga małżonków stanęło na tem, że odtąd co miesiąc z góry odkładane będą pieniądze, niezbędne na pokrycie potrzeb gospodarskich, reszta zaś dochodu miesięcznego dzielić się ma na równe części pomiędzy oboje... I od tej to pory z rodzinnego widnokręgu Delamiterów znikła na zawsze jedna z owych drobnych napozór, ciężkich w istocie chmurek życia powszedniego, które ciężą nad każdem niemal bez wyjątku ogniskiem domowem...

GAŁĄZKA SPIREI.

NOWELA

przez **Marję Jarmund.**

Dalszy ciąg.

Ostatnie dni, kiedy już przybył nowy proboszcz na plebanję, spędzono na prośbę właściciela we dworze. Myśl o ciężkiej samotności, w jakiej znów miał pozostać i jego przejmowała trwogą. Tak się do nich przywiązał, jak do własnej rodziny. Chcąc oddalić chwilę rozstania, ofiarował nawet biednej profesorowej u siebie na czas dłuższy gościnność. Ale czyż nieszczęśliwa kobieta mogła przyjąć podobną ofiarę, będąc zmuszoną do rozpoczęcia jak najspieszniej starań o zabezpieczenie bytu swojej rodziny.

Ciężka, pełna trudów i cierpień otwierała się przed nią droga. Najboleśniejszem poświęceniem było dla niej bezwątpienia rozstanie się z ukochaną przez wszystkich nauczycielką.

— Nie mam już możności wynagrodzenia twej pracy — wymówiła ze łzami.

— Gdybym wiedziała, że zamiast pomocy, nie stanę się wam ciężarem, to pozostałabym chętnie przy was, bez żadnego wynagrodzenia — odrzekła poczciwa dziewczyna.

Obiedwie czuły jednak, że to próżne nadzieje i że rozstać się będą koniecznie zmuszone, to też smutna zwykle twarzyczka biednej dziewczyny, wyrażała teraz taki głęboki, beznadziejny smutek, że serce się ściskało patrząc na nią.

A on?

Ach! on teraz jeszcze widział ją wyraźnie taką bladą i przygnębioną, jak wtedy, w ostatniej chwili pożegnania.

Nadszedł nareszcie dzień rozstania, z obawą oczekiwany przez wszystkich. Powóz stał zaprzężony przed gankiem, cała rodzina okryta żałobą zebrała się na wschodach. Anny tylko nie było. Dzieci rozbiegły się za nią po domu. Ludwik zaś udał się wprost do ogrodu, pewny, że ją tam znajdzie.

Siedziała w podróżnym żałobnym stroju, z głową spuszczoną i opartą na dłoni, na ławeczce wśród kląbu spirei, tam gdzie ją ujrzał po raz pierwszy. Ona, co mężnie i spokojnie los swój zawsze znosiła, teraz tak była przygnębioną, jakby się uginała pod ciężarem strasznego nieszczęścia. Nie widział jej nigdy tak złamanej.

Musiała zapomnieć, że ją oczekują, gdyż siedziała bez poruszenia, pogrążona w bolesnej zadumie, nie słysząc nawet zbliżających się kroków. Powiewne girlandki białego jak śnieg kwiatu, tworzyły nad jej czołem wraz z płateczkami leciutkiemi kwiecia, obsypującemi włosy, rodzaj fantastycznej zasłony i haftowały, tak jak przy pierwszem ich spotkaniu, żałobne festony na czarnej sukni. Można ją było wziąść za posąg smutku, rozpaczającego nad utraconem szczęściem.

Nieostrożne poruszenie, wyrwało ją z smutnego zamyślenia. Na widok Ludwika cień niezadowolenia przemknął po bladej twarzy. Nie miło jej było zapewne, że ją w tem właśnie miejscu spotkał. Wstała też pospiesznie mówiąc:

— Może już czekają na mnie, a ja przyszłam się pożegnać z ogrodem i kwiatami. Wyjeżdżam do miasta, pewnie więc długi czas przeminie, nim jakikolwiek kwiatek zobaczyć będę mogła.

— Dlatego też przynoszę pani bukiecik na drogę — wymówił podając wspaniały bukiet z cieplarnianych kwiatów, które sam własnoręcznie wypielęgnował.

Ale Anna na widok jaskrawych barw usunęła go lekko ręką.

— Ah! nie, nie! Tego wziąść nie mogę. One takie piękne i wesołe, a ja jestem smutna i w żałobie. Na drodze mojej nigdy nie kwitły takie kwiaty i pewnie nigdy kwitnąć nie będą. Niech mi pan da gałązkę spirei. Zawsze lubiłam te wiotkie białe girlandki, a teraz je lubię bardziej jeszcze.

Ludwik z pewnem niezadowoleniem rzucił piękny bukiet na trawnik i urwawszy pęczek spirei, wręczył go młodej dziewczynie.

Anna podała mu rękę z smutnym uśmiechem.

— Dziękuję i żegnam pana.

— Dlaczego tak smutnie żegna się pani? Odjeżdżając zawsze się powinno mówić »do widzenia«.

—Przy pożegnaniu zawsze jest więcej prawdopodobieństwa, że się już więcej witać nie będzie, niż przeciwnie. Ktoż może przewidzieć, gdzie go los rzuci.

— Jakie ponure myśli. Ja mówię: do widzenia! — zawołał ściskając serdecznie podaną sobie dłoń.

Potrząsnęła smutnie głową, nic nie odpowiadając.

— Mam prośbę, o której zapomniałam. Jak się pan dowie kiedyś, że nie żyję, proszę kazać jeden taki krzaczek — wskazała ręką na krzak spirei — posadzić na moim grobie. Czy mi to pan przyrzecze?

— Co za dziwaczne myśli... jakie nierozsądne żądanie?

— Mniejsza o to — wymówiła niecierpliwie — ale przecież przy pożegnaniu może mi pan przyrzec rzecz tak małą.

— To się rozumie, jeśli tylko o to przyrzeczenie tak bardzo chodzi pani.

— Dziękuję i proszę o tem nie zapomnieć, — zawołała oddalając się pospiesznie.

Była chwila, że chciał za nią wyciągnąć ręce i zawołać:

— Zostań, po co masz się tułać po szerokim świecie sama jedna. Tu znajdziesz cichą i spokojną przystań.

Ale jej juz nie było.

Został więc sam w swojej pustelni. Sam nawiedzany wspomnieniami, które go natrętnie ścigały. Codziennie o zmroku, zdawało mu się, że słyszy ciche dźwięki muzyki, jak to bywało dawniej, gdy młoda nauczycielka siadała do fortepianu na każde jego wezwanie. Tęsknił za gwarem i hałasem zabaw dziecinnych. Brakowało mu poważnych rozpraw kanonika.

Wszystko minęło... a on błądził nieraz godzinami po pustym domu, nie mając do kogo słowa przemówić.

Z plebanją żadne go już teraz nie wiązały stosunki. Młody następca kanonika, należał do nowej szkoły, która postawiła sobie za zadanie, studzić zapał do wszystkiego co piękne i wyniosłe. Po kilku rozmowach znienawidzili się wzajemnie, tak dalece, że przechodząc koło siebie, udawali, że się nie widzą. Widok plebanji nawet, stał się teraz wstrętnym dla właściciela Olszynki. Ile razy szedł na wieś, zawsze ją omijał starannie, nakładając drogi. Tę zaś część dziedzińca i ogrodu, z której widać było narożne okno, niegdyś przez Annę zajmowane, kazał gęsto obsadzić wysokiemi krzewami.

Czuł się zupełnie nieszczęśliwym, a brakowało mu siły, woli i stanowczości, ażeby na cierpienie swoje znaleść skuteczną radę.

— Jestem za stary! — szeptał często ruszając ramionami. Cóżby świat zresztą na to powiedział.

Świat! Jakże często ten świat, który nigdy potrzebującemu nie pospieszy z pomocą, do którego w chwilach życia najcięższych na próżno wyciąga się dłonie, staje wyższym nawet umysłom na drodze do szczęścia, przez nędzną obawę narażenia się na śmieszność.

O Annie miewał czasem wiadomości, przez biedną profesorowę, której dziećmi opiekował się zawsze z czułością. Nie były już razem, musiały się rozejść, więc nauczycielka poszła między obych. Pracowała ciężko, ale była spokojną i los swój znosiła odważnie.

Ludwik zaczynał już powoli tracić nadzieję, ażeby mógł się z nią spotkać kiedykolwiek w życiu, gdy dziś jedno słowo rzucone przez doktora, zmieniło nagle całą postać rzeczy. Cały gmach sztucznie wzniesionych przeszkód runął w jednej chwili i to, co w chwiejnym jego umyśle wydawało się niepodobnem do wykonania, teraz uznał za łatwe i możebne.

Nieodwołalne postanowienie napełniło mu serce nieznaną radością i spokojem. Weselej na świat spoglądał, znalazłszy nareszcie węzeł, który go miał połączyć z całem społeczeństwem.

— A gdyby ona nie chciała? — zmarszczył brwi. — Co za myśl śmieszna... dziewczyna biedna i zupełnie samotna miałaby szczęściem pogardzić... A Władysław?... O to co innego, ona dla tamtego zawsze niechętnie była usposobioną... ale tu nie ma obawy, on sam jest panem swego losu i od niego zależy, jak nim rozporządzi.

Pomimo tej pewności nagły niepokój ścisnął mu serce. Tak dawno nie miał już o niej żadnej wiadomości, w ostatnim liście profesorowa ani słowem nie wspomniała. Cóż się z nią dzieje?

Przyjechawszy do miasta, miał zamiar odwiedzić starą swoją przyjaciółkę, ale brak czasu

dotychczas mu na to nie pozwolił. Podniósł się z ławki, nie chcąc już ani chwili dłużej odkładać tych odwiedzin. Od niej dowie się o wszystkiem, co go obchodzić mogło i użyje pośrednictwa w tej sprawie.

Zaledwie jednak parę kroków postąpił, zatrzymał się zdziwiony. Naprzeciw niego, w ciemnej alei, zbliżała się niemłoda kobieta wysokiego wzrostu i niezwykłej tuszy. Ubraną była czarno i ubogo, a na łagodnej i dobrodusznej twarzy malował się smutek i przygnębienie.

— Kochana profesorowa, co za niespodzianka. A ja się właśnie wybrałem w odwiedziny do pani — zawołał Ludwik uradowany.

Kobieta zatrzymała się przestraszona i niepewna czy do niej zwrócone zostało to przywitanie. Ale niepewność trwała przez jedno mgnienie oka zaledwie, z wyciągniętemi do uścisku rękami przybiegła natychmiast do swego przyjaciela.

— Co za szczęście, własnym oczom nie wierzę, że to drogi nasz opiekun stoi przedemną. Tak daleką była odemnie myśl, że mogę tu pana spotkać, iż w pierwszej chwili nie poznałam go wcale.

— Ja też od dłuższego czasu przypatruję się pani, nie będąc pewny, czy mnie jakie podobieństwo nie łudzi.

— Ileż to lat minęło od ostatniego widzenia się naszego. Pięć już podobno.

Kobieta westchęła. Usiedli na ławce. Pierwsze chwile spotkania poświęcone zostały zapytaniom i wykrzyknikom. On w paru słowach wspomniał o powodzie, dla którego przybył do miasta. Ona zaś mówiła o dzieciach i położeniu, w jakiem się znajduje.

— Przecież Pan nas odwiedzi. Co to za radość będzie dla moich dzieci, które codziennie wspominają Olszynkę i mówią o panu. Zobaczysz drogi przyjacielu, jak Marylka wyrosła. Spoważniała zupełnie od czasu jak została nauczycielką i czuje się dumną, że dopomódz może matce swą pracą. Anielcia także podrosła. Julek uczy się doskonale.

Ludwik słuchał tego opowiadania życzliwie, ale myśli jego zwracały się bezustannie do przedmiotu, który go silniej zajmował.

— Cieszę się z całego serca, że drogiej pani coraz lepiej się powodzi... A więcej żadnej wiadomości nie ma mi pani do udzielenia?

Twarz poczciwej kobiety na to pytanie zasępiła się nagle. Oczy jej zapełniły się łzami, a dwie duże krople stoczyły się wolno po twarzy. Otarła je chustkę i wymówiła ze smutkiem.

— Przeciwnie, mam wiadomość i to bardzo smutną. Wyszłam właśnie z domu, żeby ją panu przesłać listownie. Oto list — dodała wyjmując zapieczętowaną paczkę z kieszeni.

— Jakaż to wiadomość?... niech pani mówi...

Gwałtowny niepokój ściskał mu serce i oddech w piersi zapierał.

Profesorowa milczała chwilę, ocierając ciągle oczy, z których łzy obficie płynęły.

— Pana zapewne nie dotknie ona tak bardzo, ale dla nas, dla mnie i dla moich dzieci, strata jaką ponieśliśmy jest prawdziwym ciosem. Dziewczęta, a nawet Julek są w rozpaczy, której nie można uspokoić.

— Ale cóż to... cóż?

— Nasza biedna przyjaciółka... Andzieńka rozstała się z tym światem — szepnęła łkając profesorowa.

— Co pani mówi? — zawołał nieszczęśliwy człowiek, zrywając się z miejsca z załamanemi rękami.

Cios był tak nagły, że odebrał mu przytomność. Złudny gmach marzeń, wzniesiony starannie przed chwilą rozwiał się w mgłę, pod tchnieniem zimnej rzeczywistości.

Profesorowa tymczasem rozdarła kopertę, wyjęła z niej ćwiartkę zapisanego papieru i schowała do kieszeni.

— To już niepotrzebne, kiedy możemy pomówić osobiście, ale list ten najdokładniej uwiadomi pana o wszystkiem.

Wziął podaną kopertę, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tego, co robi. Długi czas jednak nie odważył się jej otworzyć, zdawało mu się wyraźnie, że papier ten nieszczęsny parzy mu i kaleczy palce. Nogi drżały i uginały sią pod nim, tak że był zmuszony oprzeć się o drzewo, żeby nie upaść.

Profesorowa spoglądała na niego z zadziwieniem, nie przypuszczając nawet, żeby ta odebrana wiadomość, tak głęboko wzruszyć go mogła.

Osunął się wreszcie bezwładnie na ławkę i z rozpaczliwą odwagą wyjął duży papier z koperty.

Była to zwykła karta pogrzebowa, z następującem zawiadomieniem wydrukowanem wielkiemi literami.

ś. p. Anna Krzewińska

zmarła dnia 15 maja w 34 roku życia.

Wyprowadzenie zwłok nastąpi 17 maja o 12 godzinie w południe z gmachu szpitala Śgo Ducha na cmentarz miejski, na który to obrzęd Zarząd szpitala wszystkich krewnych, znajomych i pobożnych chrześcjan uprzejmie zaprasza.

Nieszczęśliwemu człowiekowi litery te drżały, mięszały się i plątały przed oczami, tworząc ogniste jakieś koła i tajemnicze głoski, których znaczenie napróżno zrozumieć usiłował. Przerażająca wiadomość, jaką zawierały wydawała mu się tak potworną, że stracił zupełnie możność rozróżniania rzeczywistości od złudzenia. Wyobraził sobie, iż stał się igraszką strasznego snu, z którego obudzić się nie może. Z wyraźnym przestrachem malującym się na twarzy, podniósł na profesorową oczy rozszerzone obawą.

(Dok. nast.)